

MARIA FOGLER



TURMO

CZY
TEL
NIK

MARIA FOGLER
TURMO

CZYTELNIK

Okładkę i kartę tytułową projektował
Tomek Jarosz

Zdjęcie na okładce
Maria Fogler

Redaktor prowadzący
Anna Rucińska

Redaktor
Małgorzata Poździk

Korektor
Elwira Wyszzyńska

Redaktor techniczny
Bożena Ławnicka

© Copyright by Maria Fogler, 2025
© Copyright for the Polish edition by
Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2025

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”
ul. Wiejska 12 a, 00-490 Warszawa
tel.: 22 583 14 07, e-mail: sekretariat@czytelnik.pl
Warszawa 2025. Wydanie I
Skład: pagegraph.pl
Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza
im. W.L. Anczyca, Kraków

ISBN 978-83-07-03655-7

Nikt nie zdoła poznać do końca nawet jednej duszy ludzkiej, która gdzieś w sekretnej głębi kryje wewnętrzny pejzaż o nie-
tkniętych ludzką stopą równinach, cichych parowach, potężnych górach, tajemniczych ogrodach [...].

Antoine De Saint-Exupéry, *Twierdza*,
przeł. A. Olędzka-Frybesowa

Ignacio

Ignacio od początku był tak życzliwy i uczynny, że szybko zaczęli w nim wyczuwać jakieś wielkie poczucie winy. Nie wobec nich, ale ogólnie wobec świata. Sympatia, którą w nich wzbudzał, zaczęła z czasem nabierać odcieni niepokoju. Jednocześnie pojawiła się pewna niewygodna uległość, lęk skruszonego grzesznika przed odtrąceniem, potępieniem. Trudno jednak wybaczać, nie znając winy. A nie wiadomo, jak zapytać. Jak się przybliżyć, nie pakując się nachalnie w cudze życie. Starzy, samotni ludzie mają jednak potrzebę dzielenia się nawet swoimi brudami. Wyznanie Ignacia było zatem tylko kwestią czasu. Na razie dzielił się z nimi swoimi warzywami z przydomowego ogródka, którego pielęgnacja była jego jedynym zajęciem – obok spacerów do pobliskiego sanktuarium Guayente i zagadywania nielicznych przechodniów. Latem w wiosce było więcej życia. Pojawiali się zagubieni turyści, rozanieleni sielankowym wyglądem okolicy. Starsi mieszkańcy spędzali poranki na wspólnych spacerach, a popołudniami zasiadali na przydrożnych ławkach czy murkach. Latem łatwiej było „zabijać dni” – jak to określał Ignacio. Ale zimy były długie i samotne, a uliczki robiły się oblodzone i jakby bardziej strome. A ponieważ okoliczne lasy

zaczęły już zmieniać kolory, a dni stawały się coraz krótsze i chłodniejsze, trzeba było szybko zacieśniać nowe znajomości, by potem nie spędzać całych dni w milczeniu. Młodym łatwiej bowiem wpaść w odwiedziny, nawet gdy pojawia się mróz i zaspę. Każde spotkanie stawało się okazją do pospiesznych zagadywań, których zadaniem było usidlenie zwierzyny.

Jesień w dolinie Ésery pojawiała się dużo wcześniej niż w reszcie Hiszpanii. Miała ona jednak jakąś przyjemniejszą, ludzką aurę. Była okresem ostatecznych zbiorów warzyw z przydomowych ogródków i owoców z rozsianych po okolicy dzikich krzaków jeżyn, jabłoni i orzechowców. W lasach zbierano drewno do kominików i grzyby. A potem nagle przychodziła zima, oszczędzając szarugi jesiennej, tak bardzo dłużącej się w innych miejscach. Śnieg wnosił więcej światła, a góry nabierały innego wymiaru, równie atrakcyjnego jak latem. Zima trwała tyle, by się nią znudzić, ale nie zmęczyć. A przychodząca po niej, wyczekiwana wiosna była równie krótka jak jesień i już zaczynało się lato – rozgrzane, pachnące dzikim tymiankiem i lawendą.

Dom Ignacia był jednym z niewielu nieodnowionych domów w wiosce, co oznaczało, że był otynkowany i pomalowany na żółtawobiały kolor. W otoczeniu pieczołowicie odrestaurowanych i wychuchanych kamiennych domków zdawał się jakby przeniesiony z innej makiety. Dla miejscowej starszyny moda – a od pewnego czasu także obowiązek zawarty w wytycznych konserwatora – na nieotynkowane kamienne

ściany domów była nie do pojęcia. Dawniej tylko stodoły zostawały z gołym kamieniem na wierzchu, domy mieszkalne były otynkowane, co podnosiło ich standard. Ignacio w takim właśnie domu przyszedł na świat i pewnie niewiele od tamtej pory się w nim zmieniło. I on sam pewnie też się niewiele zmienił. Był z tych, którzy starzeją się tylko fizycznie, ale w środku pozostają tacy sami. Ich gorzka świadomość życia bierze się z niedołężności ciała, które nie nadąża już za duchem, a nie z jakiejś głębszej refleksji egzystencjalnej, którą można by nazwać dojrzałością. Ignacio nie był dojrzały, był doświadczony życiem. Zdawał się fizycznie starszy, niż był w rzeczywistości, ale zdradzał go szelmowski błysk w oku, typowy dla psotnego nastolatka.

Był starym kawalerem i przy każdej okazji wzdychał o jakąś młodą panienkę „do pomocy w domu”, ale kobiet, z którymi rzeczywiście coś mogłoby go połączyć, zdawał się nie dostrzegać. Młoda mężatka była dla niego wymarzonym obiektem platonicznych rojeń, nie było bowiem żadnej możliwości, by cokolwiek z tego, za czym wzdychał, mogło się w jakikolwiek sposób ziścić. Co oznaczało, że nie było rzeczywistego zagrożenia porażką. Dlatego mógł spokojnie zaprzyjaźnić się z obojgiem – i z nią, i z jej mężem. Niekiedy wrywały mu się jakieś zaczepne i pokrętnie zalotne komentarze, jakby zapominał na chwilę o faktycznym stanie rzeczy. Był jednak zupełnie niegroźny, tylko czasem rzucał niesmaczne uwagi.

W końcu zaczął się odsłaniać. Lęk przed kolejną samotną zimą był silniejszy od chęci zachowania pozorów. Trzeba było działać szybko.

– Tej butelki wina od was to jeszcze nawet nie otworzyłem. Szkoda, żeby się zmarnowała. Bo ja co? Jedną szklaneczkę wypiję, a reszta będzie stała i się zepsuje. No, chyba że razem wypijemy. Szynki nakroję.

– Przyjdziemy. Zaraz kończę kurs i będę trochę wolniejsza. W górach też teraz mniej pracy, to we dwójkę będziemy mogli wpaść.

– To przyjdźcie, przyjdźcie, kiedy wam wygodnie. Bo ja to zawsze jestem w domu. Sami wiecie.

– Przyjdziemy. Niebawem.

Trochę im zajęło, zanim dotarli. Widzieli jego dom z okna kuchni i przechodzili obok za każdym razem, kiedy szli do samochodu. Ale zawsze jakoś tak było im niezręcznie. Nigdy nie wiadomo, czy takie zaproszenie jest na poważnie, czy to tylko kurtuazja, sąsiedzkie pogaduchy. Oprócz siostry i sprzątaczkę nie widzieli, żeby ktoś go odwiedzał. A przecież znał całą wioskę. Wszyscy się tam znali. Może nie było zwyczaju, żeby zachodzić do domu. Więc odczekali trochę dłużej, niż wypadało. W końcu jednak zaproszenie się ponowiło i nie brzmiało już jak sąsiedzka kurtuazja, ale jak błaganie o pomoc. Przyszli pewnego jesiennego popołudnia. Było jeszcze ładnie, ale już chłodniej. Mrok ogarniał świat z zaskoczenia, każdego dnia trochę wcześniej.

Ignacio krzątał się wokół stołu jak mało wprawny kelner. Próbował zagadywać swoją niezdarność.

– Na waszym domu przez lata suszyli krowie skóry. Śmierdziało tak, że nie dawało się przejść obok. Zakładaliśmy się z chłopakami, który dłużej wytrzyma pod łukiem, zanim go zemdli. Czasem któryś zaczynało trząchać i musiał biec w krzaki.

Wszyscy troje zaczęli się głośno śmiać. Trochę za głośno i za długo. Ignacio dolał im wina i zabrał się do krojenia szynki.

– Dlatego wasz dom nazywa się Casa Vaquera.

– A ja myślałam, że to po prostu dlatego, że mieli krowy.

– Tu wszyscy mieli krowy. Ale tylko oni je obdzierali ze skóry.

Tym razem zaśmiał się jedynie Ignacio. Znów trochę za głośno i zbyt nerwowo. Spieszył się.

– My wcześniej też mieliśmy krowy. Ale matka sprzedała ostatnią, jak jeszcze z gołym tyłkiem ganiałem. Potem wypasałem krowy innych. Tych z waszego domu też. Ile razy ja te góry schodziłem. Każdą jaskinię tu znałem, każdą polankę. Teraz to gruby jestem, pewnie nie wierzycie. Ale jak ja ganiałem do góry za tymi krowami. A najwięcej to się nabiegałem za owcami. Cały dzień człowiek spędzał w ruchu. No, nie tnie coś to ścierwo... – Przerwał monolog i zaczął ostrzyć nóż. – Kiedyś to zawsze miałem przy sobie naostrzony nożyk. Mały, ale wszystko ciął. Nawet skórzany pas od krowiego dzwonka. Wszystko. Ten jest do niczego.

– A tamten zgubiłeś?

Nie, żeby ją to jakoś specjalnie interesowało, ale chciała pokazać, że go słucha. Ignacio spał się nie spodziewanie.

– Takich noży się nie gubi! Poświęciłem go. Tak wyszło. Musiałem poświęcić. Czasem tak się dzieje. A to był najlepszy nóż, jaki kiedykolwiek miałem w rękach. Teraz czasem jak tyczki trzeba ociosać, to mnie szlag trafia, że go nie mam. Albo jak szynkę kroję. Nigdzie już takiego nie dostanę. Szkoda gadać.

– Jak go poświęciłeś?

– Co?

– Ten nóż, jak go poświęciłeś?

– A, nóż. To dawne czasy. Kiedyś tu inaczej było. Bardziej dziko. Zwierzęta się mniej bały człowieka. Wilki podchodziły. Trzeba się było bronić.

Spróbował się zaśmiać ironicznie, ale wyszło mu bardziej sapnięcie.

– Ludzie też byli inni.

– Człowiek człowiekowi wilkiem.

Rzuciła to zdanie ot tak, jak oklepaną formułkę, którą wszyscy znają, ale nikogo ona specjalnie nie porusza. Teraz jednak nabrała jakiegoś dziwnego ciężaru. Po twarzy Ignacia przebiegł skurcz.

– Nie zawsze można wybrać.

– Co nie zawsze można wybrać?

– No, czy jest się wilkiem, czy owcą. Ja z owcami całe życie spędziłem na halach. No to niby bliżej mi do owcy. Ale czasem to człowiek sam nie wie.

Zdawał się zasępiozony nad dopiero co rzuconą myślą, jakby nie dowierzał w jej pokrętną logikę. Przestał kroić i zaczął wpatrywać się w szynkę. A może raczej w ostrze noża. Wydawało się, że chce jeszcze coś dodać, ale się waha.

– Ja zawsze chciałem dobrze. Nie tak nachalnie, na siłę. Ale nigdy nikomu źle nie życzyłem. Jej też nie.

– Jej?

– Cholera. Dawne dzieje, a widzę ją, jakby to było wczoraj. Te jej oczy najbardziej. Ciemne, świejące. Cała była brudna i potargana, jak zwierzak jakiś. Ale te oczy były piękne. Pewnie kiedyś była piękna. A może nie. Może zawsze w tych krzakach żyła.

– Ignacio, o czym ty mówisz? – Jej zaciekawienie zaczęło przechodzić w niepokój.

Bernard milczał. Wyraz jego twarzy nie zdradzał żadnych emocji. Jak zwykle czekał na szybkie i proste wytłumaczenie wszelkich początkowo niezrozumiałych kwestii.

Ignacio nie dał się długo prosić.

– Młody wtedy byłem. Całe dni ganiałem za owcami po górach. Spało się gdzie popadnie, jadło marnie. Jak pogoda była, to jeszcze jakoś dawało radę. Ale kiedy lało kilka dni z rzędu, to człowiek nie wiedział, co ze sobą zrobić. Ja znałem kilka miejsc do spania, gdzie wszystko jedno, czy padało, czy nie, tam sucho było zawsze. Niektóre to były jaskinie. Inne po prostu duże głazy. Obłożono się trochę kamieniami i było świetne legowisko. Do niektórych wracałem co kilka dni.

„Opowiedziane przez Autorkę historie przeczytałem z przyjemnością,
a to mi się zdarza – mówię z ręką na sercu – coraz rzadziej.

Odkryciem była dla mnie egzotyka opowieści, tak przeciwna naszym
wyobrażeniom o Hiszpanii i naszym wakacyjnym doświadczeniom
z tym krajem, skąpanym w blasku, upale, czasem morderczym słońcu.

A tu długie, srogie zimy, późne wiosny, odludzia,
góry nie na żarty i piękno, ale surowe.

Polecam te znakomite opowiadania, złączone pomysłem fabularnym,
w którym każda następną historia wyjaśnia to,
co zdarzyło się w poprzedniej”.

EUSTACHY RYLSKI

Turmo to przejmująca opowieść o mieszkańcach pirenejskiej wioski
w północnej Hiszpanii, których na zawsze nazaczył i połączył haniebnym
czyn popełniony niedługo po wojnie. Mimo ciężaru tajemnicy noszonej
w sercach i umysłach bohaterowie próbują odnaleźć spokój –
dla siebie i kolejnych pokoleń.

María Fogler jest filozofką, pisarką i tłumaczką tekstów filozoficznych
z języka hiszpańskiego. Opublikowała prace o twórczości hiszpańskiej
myślicielki Marii Zambrano i o roli muzyki w powieści *Doktor Faustus*
Tomasza Manna, cenione za łączenie głębokiej refleksji filozoficznej
z przystępnym przekazem. Mieszka w Hiszpanii.